

# Desmond Bagley



# Odwet



Tytuł oryginału: *Spoilers*

Copyright © Brockhurst Productions 1978  
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-59-8  
Arie Books Sp. z o.o.  
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB, Espadon Publishing Sp. z o.o. oraz Arie Books Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Desmond Bagley

# Odwet

Przekład: Jerzy Żebrowski

A R I E B O O K S  
W A R S Z A W A 2 0 2 1

# 1

Leżała na łóżku w niedbalej pozie, nieświadoma już obecności rosnących mężczyzn wypełniających pokój, którzy sprawiali, że wydawał się on jeszcze mniejszy niż był w rzeczywistości. Uleciało z niej życie, a słusznego wzrostu panowie przyjechali stwierdzić, dlaczego tak się stało – nie z ciekawości, lecz z przyczyn zawodowych: byli policjantami.

Detektyw inspektor Stephens nie zwracał uwagi na ciało. Rzucił na nie tylko okiem, a potem zainteresował się pokojem, zauważając tanie, zdezelowane meble i wytarty dywan, który był zbyt mały, aby ukryć zakurzone deski. Brakowało szafy, a rzeczy dziewczyny leżały bezładnie porozrzucone, niektóre na oparciu krzesła, inne na podłodze obok łóżka. Ona sama była naga jak opustoszała muszla. Martwe ciało nie budziło pożądania.

Stephens wziął z krzesła sweter i zauważył ze zdziwieniem, jak bardzo jest miękki. Spojrzawszy na metkę z nazwą firmy zmarszczył brwi, a potem podał go sierżantowi Ipsleyowi.

– Było ją stać na dobre rzeczy. Co z ustaleniem tożsamości?

– Betts rozmawia z właścicielką domu.

Stephens wiedział, ile to warte. Mieszkańcy jego rewiru niechętnie rozmawiali z policją.

– Niewiele mu to da. Dostanie tylko jakieś nazwisko i to zapewne fałszywe. Widział pan strzykawkę?

– Trudno było nie zauważyć, sir. Myśli pan, że to narkotyki?

– Możliwe. – Stephens odwrócił się w stronę komody z jasnego surowego drewna i pociągnął za jedną z gałek. Szuflada otworzyła się na szerokość cala, a potem zacięła się. Uderzył w nią kantem dłoni. – Czy zjawił się już policyjny lekarz?

– Pójdę się dowiedzieć, sir.

– Nie ma problemu. Przyjdzie we właściwym czasie. – Stephens odwrócił głowę w stronę łóżka. – Poza tym jej się tak bardzo nie śpieszy. – Szarpnął szufladę, która znów się zacięła. – Co za cholera?!

Umundurowany policjant pojawił się w drzwiach, zamykając je za sobą.

– Nazywała się Hellier, sir. June Hellier. Mieszkała tu od tygodnia. Przyjechała w zeszłą środę.

Stephens wyprostował się.

– To niewiele nam daje, Betts. Widział pan ją już kiedyś na swoim terenie?

Betts spojrział w stronę łóżka i pokręcił głową.

– Nie, sir.

- Czy właścicielka domu знаła ją wcześniej?
- Nie, sir. Przyszła z ulicy i poprosiła o pokój. Zapłaciła z góry.
- Inaczej by go nie dostała – stwierdził Ipsley. – Znam tę starą jędzę – nic za darmo, a za sześć pensów niewiele.
- Czy miała jakichś przyjaciół, znajomych? – zapytał Stephens. – Rozmawiała z kimś?
- Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Wygląda na to, że większość czasu spędzała w pokoju.

Niski mężczyzna z zaokrąglonym brzuszkiem wcisnął się między nich. Podszedł do łóżka i położył torbę.

- Przepraszam za spóźnienie, Joe. Te cholerne korki są coraz gorsze.
- W porządku, doktorze. – Stephens zwrócił się ponownie do Bettsa: – Niech pan tu jeszcze powęszy i spróbuje się czegoś dowiedzieć. – Podszedł do doktora, stojącego w nogach łóżka i spojrzał z góry na ciało dziewczyny. – Chodzi, jak zwykle, o czas i przyczynę zgonu.

Doktor Pomray zmierzył go wzrokiem.

- Podejrzewa pan coś?

Stephens wzruszył ramionami.

- Na razie nic nie wiem. – Wskazał na strzykawkę i szklankę, które leżały na nocnej szafce z bambusa. – To mogły być narkotyki. Może przedawkowała.

Pomray pochylił się nad szklanką i ostrożnie ją powąchał. Na dnie widać było cieniutką warstwę wilgoci. Już miał jej dotknąć, gdy Stephens powiedział:

- Proszę tego nie robić, doktorze. Chciałbym, żeby najpierw sprawdzono odciski.

- To nie ma większego znaczenia – odparł Pomray. – Jasne, że była narkomanką. Niech pan spojrzy na jej uda. Chciałem tylko sprawdzić, czym się truła.

Stephens zauważył już wcześniej ślady ukłuc i wyciągnął własne wniośki, stwierdził jednak: – Może miała cukrzycę?

Pomray zdecydowanie pokręcił głową.

- Są ślady zakrzepu żylnego i zakażenia skóry. Żaden lekarz nie dopuściłby do tego u pacjenta z cukrzycą. – Pochylił się i ucisnął jej skórę. – Są też początki żółtaczki. Oznacza to uszkodzenia wątroby. Powiedziałbym, że to narkomania i typowa beztroska w obchodzeniu się z igłą. Ale dopiero po sekcji będziemy mieć pewność.

- W porządku, zostawiam to panu. – Stephens odwrócił się do Ipsleya i powiedział jakby od niechcenia: – Może pan otworzyć tę szufladę, sierżancie?

– Jeszcze jedno – dorzucił Pomray. – Przy swoim wzroście ma sporą niedowagę. To kolejny dowód. – Wskazał na popielniczkę zasypaną niedopałkami papierosów. – I bardzo dużo paliła.

Stephens zobaczył, jak Ipsley delikatnie ująwszy kciukiem i wskazującym palcem gałkę komody, bez trudu otwiera szufladę. Odwrócił wzrok od jego twarzy, na której malował się wyraz triumfu i stwierdził:

– Ja też dużo palę, doktorze. To niewiele oznacza.

– Pasuje do klinicznego obrazu – przekonywał Pomray.

Stephens skinął głową. – Chciałbym wiedzieć, czy zmarła na tym łóżku.

Pomray wydawał się zaskoczony.

– Ma pan powody przypuszczać, że było inaczej?

Stephens lekko się uśmiechnął.

– Bynajmniej. Po prostu jestem ostrożny.

– Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć – stwierdził Pomray.

W szufladzie znaleźli niewiele: torebkę, trzy pończochy, parę wymagających uprania majtek, pęk kluczy, szminkę, pas do pończoch i strzykawkę ze złamaną igłą. Stephens odkręcił szminkę i zajrzał do środka. Była zupełnie zużyta, a ślady wskazywały na to, że dziewczyna próbowała wykorzystać ją do końca, co potwierdziło odnalezienie w szczelinie szuflady starej zapalki z zabarwionym na czerwono końcem. Stephens specjalizujący się w interpretowaniu takich szczegółów, wywnioskował, że June Hellier była w finansowych tarapatach.

Majtki miały z przodu dwie czerwonobrazowe plamy. W podobny sposób zaplamiona była górna część jednej z pończoch. Wyglądało to na zaschniętą krew i było zapewne efektem zrobionego nieumiejętnie zastrzyku w udo. Na metalowym kółku znajdowały się trzy klucze, w tym jeden od stacyjki samochodu. Stephens zwrócił się do Ipsleya:

– Niech pan pójdzie sprawdzić, czy dziewczyna miała samochód.

Drugi klucz pasował do luksusowej i wytwornej walizki, którą znalazł w kącie; zajrzał do środka – była pusta. Stephens chciał kiedyś kupić podobną w prezencie dla żony, ale zrezygnował z powodu ceny.

Trzeciego klucza nie potrafił do niczego dopasować, zajął się więc torebką, zrobioną z miękkiej skóry. Zamierzał ją właśnie otworzyć, gdy wrócił Ipsley.

– Nie ma samochodu, sir.

– Doprawdy? – Stephens zacisnął wargi. Otworzył zatrask torebki i – zajrzał do jej wnętrza. Papiery, bibułki, jeszcze jedna doszczętnie zużyta szminka, trzy szylingi i cztery pensy, żadnych banknotów.

– Proszę uważnie posłuchać, sierżancie – powiedział. – Przyzwoita torebka, przyzwoita walizka, kluczyki do stacyjki, ale bez wozu, przyzwoite

ciuchy, z wyjątkiem pończoch, które są tanie, w szufladzie szminka w złotej oprawie, w torebce szminka od Woolwortha – obie zużyte. Co pan o tym wszystkim myśli?

– Musiała zbiednieć, sir.

Stephens skinął głową, trącając wskazującym palcem kilka monet. Nagle zapytał:

– Może mi pan powiedzieć, doktorze, czy ona była dziewicą?

– Nie była, już to sprawdziłem – odparł Pomray.

– Może żyła na kredyt – podsunął Ipsley.

– Możliwe – stwierdził Stephens. – Dowiemy się, jeśli będzie trzeba.

Pomray wyprostował się.

– Na pewno zmarła na tym łóżku. Są na to dowody. Więcej nic tu nie zdziałałam. Można gdzieś umyć ręce?

– Na końcu korytarza jest łazienka – odparł Ipsley. – Ale niezbyt tam czysto.

Stephens porządkował niewielki plik papierów.

– Jaki był powód zgonu, doktorze?

– Powiedziałbym, że przedawkowanie narkotyku, ale dopiero sekcja wykáže, co to było.

– Przypadkowe czy celowe? – zapytał Stephens.

– Z tym też trzeba poczekać do sekcji – odparł Pomray. – Jeżeli przedawkowanie było naprawdę spore, można właściwie mieć pewność, że to nie przypadek. Narkoman z reguły wie dokładnie, ile ma wziąć. Jeśli przedawkowała tylko trochę, mogło się to stać przypadkowo.

– A więc jeżeli to nie przypadek, mamy do wyboru samobójstwo albo morderstwo – stwierdził z zadumą Stephens.

– Myślę, że morderstwo może pan śmiało wykluczyć – stwierdził Pomray. – Narkomani nie lubią, żeby inni wbijali im igły. – Wzruszył ramionami. – Ale wskaźnik samobójstw jest wysoki wśród tych, którzy są już na dnie.

Stephens mruknął cicho, natrafiając na wizytówkę jakiegoś lekarza. Jego nazwisko wydało mu się dziwnie znajome.

– Co pan wie o doktorze Nicholasiu Warrenie? Czy to specjalista od narkotyków?

Pomray przytaknął.

– A więc była jedną z jego dziewczyn, tak? – zapytał z zainteresowaniem. – Co to za lekarz? Ma czyste ręce?

Pomray zareagował gwałtownie.

– Mój Boże! Nick Warren ma nieskazitelną opinię. To jeden z najlepszych fachowców w branży. Nie jest żadnym szarlatanem, jeśli o to panu chodzi.

– Z różnymi ma się do czynienia – powiedział pojednawczo Stephens.  
– Sam pan to dobrze wie. – Podał wizytówkę Ipsleyowi. – To niedaleko stąd. Niech pan spróbuje go odnaleźć, sierżancie. Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze tej dziewczyny.

– Tak jest, sir – powiedział Ipsley i ruszył do drzwi.

– Aha, sierżancie – zawołał Stephens. – Proszę mu nie mówić, że dziewczyna nie żyje.

Ipsley szeroko się uśmiechnął.

– Nie powiem.

– Proszę posłuchać – odezwał się Pomray. – Jeżeli spróbuje pan przyciskać Warrena, czeka pana spora niespodzianka. To twardy facet.

– Nie lubię lekarzy, którzy rozdają narkotyki – odparł ponuro Stephens.

– Cholernie dobrze pan wie, jak to jest – burknął Pomray. – A lekarskiej etyce Nicka Warrena nie zdoła pan niczego zarzucić. Jeżeli zastosuje pan taką taktykę, da panu nieźle popalić.

– Zobaczymy. Radziłem już sobie z twarżielami.

Pomray wyszczerzył nagle zęby w uśmiechu.

– Chyba zostaną i popatrzą sobie. Warren wie o narkotykach i narkomanach tyle samo, co najlepszy specjalista w tym kraju, a może i więcej. Ma na tym punkcie lekkiego bzika. Nie przypuszczam, żeby wiele pan z niego wyciągnął. Wróć, jak tylko domyję się w tej zafajdanej łazience.

Stephens spotkał się z Warrenem w ciemnym korytarzu przy wejściu do pokoju dziewczyny. Chciał wykorzystać psychologiczną przewagę, którą uzyskał nie informując doktora o śmierci dziewczyny. Jeżeli zdziwiło go, że Warren przyjechał tak szybko, nie okazał tego, lecz obserwował idące go po korytarzu mężczyznę z zawodową rezerwą.

Warren był człowiekiem wysokim, o delikatnej, ale dziwnie nieruchomej twarzy. Mówił zawsze z namysłem, robiąc nieraz długie przerwy, zanim udzielił odpowiedzi. Stephens odnosił wrażenie, że Warren go nie słyszy albo nie zwraca uwagi na zadawane pytanie, ale w chwili gdy zamierzał je powtórzyć, Warren zawsze odpowiadał. Ta powściągliwość drażniła Stephensa, chociaż starał się tego nie okazywać.

– Cieszę się, że pan przyjechał – powiedział. – Mamy pewien problem, doktorze. Zna pan młodą damę o nazwisku June Hellier?

– Znam – odparł lakonicznie Warren.

Stephens czekał z nadzieją, że Warren powie coś więcej, ale ten tylko mu się przyglądał. Tłumiąc irytację zapytał:



– Czy to jedna z pańskich pacjentek?

– Tak – odparł Warren.

– Na co chorowała, doktorze?

Warren odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– To sprawa między pacjentem a lekarzem i nie chcę o tym rozmawiać.

Stephens poczuł, jak Pomray porusza się niespokojnie za jego plecami. Odezwał się chłodno:

– To sprawa dla policji, doktorze.

Warren znowu zamilkł, patrząc spokojnie na Stephensa. W końcu powiedział:

– Wydaje mi się, że jeżeli panna Hellier potrzebuje pomocy lekarskiej, tracimy czas stojąc tutaj.

– Nie będzie potrzebowała pomocy – rzekł obojętnie Stephens.

Pomray znów się poruszył.

– Ona nie żyje, Nick.

– Rozumiem – odparł Warren. Wydawał się nieporuszony. Stephens był zły, że Pomray wtrącił się do rozmowy, ale bardziej zainteresował go brak reakcji ze strony Warrena.

– Nie jest pan zaskoczony, doktorze.

– Nie – odparł krótko Warren.

– Dostarczał pan jej narkotyki?

– Dawałem jej recepty. To było kiedyś.

– Na jakie narkotyki?

– Na heroinę.

– Czy to było konieczne?

Warren był nieporuszony jak zawsze, ale w jego oczach pojawił się wyraz niechęci, gdy powiedział:

– Nie mam zamiaru rozmawiać z osobą postronną na temat kuracji moich pacjentów.

Stephensa ogarnął gniew.

– Ale jej śmierć pana nie zaskoczyła. Czy była umierająca? Śmiertelnie chora?

Warren spojrział na Stephensa z namysłem i powiedział:

– Współczynnik śmiertelności wśród narkomanów jest jakieś dwadzieścia osiem razy wyższy niż wśród ogółu ludności. Oto dlaczego jej śmierć mnie nie dziwi.

– Brała heroinę?

– Tak.

– A pan ją zaopatrywał?

– Tak.

– Rozumiem – podsumował Stephens. Spojrzał na Pomraya, a potem zwrócił się ponownie do Warrena: – Nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Mało mnie obchodzi pańskie zdanie – stwierdził spokojnie Warren. – Chciałbym zobaczyć moją pacjentkę. Będzie panu potrzebne świadectwo zgonu. Lepiej, żebym ja je wystawił.

Co za cholerny tupet – pomyślał Stephens. Odwrócił się gwałtownie i otworzył drzwi do sypialni.

– Proszę tędy – powiedział szorstko.

Warren minął go i wszedł do pokoju, a za nim podążył Pomray. Stephens zdecydowanym ruchem głowy nakazał sierżantowi Ipsleyowi, żeby wyszedł, po czym zamknął drzwi za jego plecami. Kiedy zbliżył się do łóżka, Warren i Pomray byli już zajęci rozmową, z której rozumiał co czwarte słowo.

Prześcieradło, którym doktor Pomray przykrył ciało dziewczyny, zostało odsunięte i widać było znów nagą June Hellier. Stephens wtrącił się do rozmowy:

– Doktorze Warren, kiedy zasugerowałem, że te ślady ukłuc mogą świadczyć o cukrzycy, doktor Pomray powiedział, że dziewczyna miała zakażenie i że żaden lekarz nie dopuściłby do tego u swojego pacjenta. Ona była pańską pacjentką. Jak pan to wyjaśni?

Warren spojrzał na Pomraya i kąciki ust zadrgały mu lekko, jakby się uśmiechał.

– Nie muszę niczego wyjaśniać – odparł. – Ale zrobię to. Lek przeciw cukrzycy wstrzykuje się w zupełnie odmiennych warunkach niż heroinę. Dzieje się to w innej atmosferze, a częsty pośpiech może powodować zakażenia.

Zwracając się do Pomraya, dorzucił:

– Nauczyłem ją posługiwać się igłą, ale, jak wiesz, oni nie przejmują się szczególnie higieną.

Stephens był oburzony. – Nauczył ją pan posługiwać się igłą?! Boże, dziwne ma pan pojęcie o etyce lekarskiej!

Warren spojrzał na niego beznamyślnie i powiedział z niezwykłym opowinowaniem:

– Panie inspektorze, jeśli wątpi pan w moją etykę, proszę to zakomunikować stosownym władzom. Chętnie służę adresem, gdyby pan nie wiedział, gdzie się udać. – Odwrócił się od Stephensa w niemal obraźliwy sposób i rzekł do Pomraya:

– Podpiszę świadectwo zgonu razem z patologiem. Tak będzie lepiej.

– Tak. Może tak będzie lepiej – stwierdził z namysłem Pomray.

Warren podszedł do wezgi łóżka i stał tam przez chwilę, przyglądając się zmarłej dziewczynie. Potem bardzo powoli nasunął prześcieradło na martwe ciało. W tym powolnym ruchu było coś, co zaintrygowało Stephensa. Wyglądało to na gest... czułości.

Zaczekał, aż Warren podniesie wzrok, po czym zapytał:

– Wie pan coś na temat jej rodziny?

– Właściwie nic. Narkomani nie lubią, kiedy się ich wypytuje – więc nie pytam.

– Wiadomo coś o jej ojcu?

– Tylko tyle, że go miała. Wspominała o nim parę razy.

– Kiedy przyszła do pana po narkotyki?

– Zgłosiła się do mnie na leczenie jakieś półtora roku temu. Na leczenie, inspektorze.

– Oczywiście – odparł ironicznie Stephens, wyjmując z kieszeni złożoną kartkę papieru. – Może zechce pan na to spojrzeć. Warren wziął kartkę i rozłożył ją, zauważając, że jest zmięta. – Skąd pan to ma?

– Z jej torebki.

Był to list napisany na maszynie efektowną czcionką, na dobrej jakości papierze z wytłoczonym nagłówkiem: REGENT FILMS COMPANY i adresem z Wardour Street. Nosił datę sprzed sześciu miesięcy i zawierał taką oto treść:

*Droga panno Hellier*

*Piszę z polecenia pani ojca, aby zawiadomić, że nie może się z panią spotkać w przyszły piątek, ponieważ tego samego popołudnia wyjeżdża do Ameryki. Nie będzie go zapewne przez jakiś czas. Nie potrafię w tej chwili określić, jak długo.*

*Zapewnia panią, że napisze, gdy tylko załatwi najpilniejsze sprawy i ma nadzieję, że swoją nieobecnością nie sprawia pani nadmiernej przykrości.*

*Z poważaniem,*

*D. L. Waiden*

– To wiele wyjaśnia – powiedział cicho Warren, podnosząc wzrok. – Czy napisał?

– Nie wiem – odparł Stephens. – Tu niczego nie ma.

Warren postukał palcem w list.

– Nie przypuszczam. Skoro June zachowała taki niewiele znaczący list, tym bardziej nie zniszczyłaby tamtego. – Spojrzał na okryte prześcieradłem ciało. – Biedna dziewczyna.

– Niech pan lepiej pomyśli o sobie, doktorze – powiedział uszczypliwie Stephens. – Proszę spojrzeć na skład zarządu w nagłówku tego listu.

Warren rzucił okiem: „Sir Robert Hellier, prezes”. Z grymasem na twarzy podał kartkę Pomrayowi.

– Mój Boże! – powiedział Pomray. – To ten Hellier!

– Tak, ten Hellier – potwierdził Stephens. – Myślę, że będzie z tego śmierząca sprawa. Prawda, doktorze Warren? – Powiedział to z nie ukrywaną satysfakcją, obrzucając Warrena pełnym niechęci spojrzeniem.

## 2

Warren siedział przy biurku w swoim gabinecie. Czekać na kolejnego pacjenta wykorzystywał cenne minuty, aby nadrobić zaległości w papierkowej robocie, do której zmuszał go system ubezpieczeń. Jak każdy lekarz nie cierpiał biurokracji w medycynie, poczuł więc dziwną ulgę, gdy pracę przerwał mu telefon. Uczucie to wkrótce go jednak opuściło, kiedy usłyszał słowa telefonistki:

– Panie doktorze, chce z panem rozmawiać sir Robert Hellier.

Warren westchnął. Spodziewał się tego telefonu.

– Połącz go, Mary.

Usłyszał trzask i w słuchawce pojawił się nowy sygnał.

– Mówi Hellier.

– Tu Nicholas Warren.

Nawet brzęczenie na linii nie zdołało zagłuszyć rozkazującego tonu w głosie Helliera.

– Chcę się z panem zobaczyć, Warren.

– Spodziewałem się tego.

– Będę dziś w biurze o wpół do trzeciej po południu. Wie pan, gdzie to jest?

– To zupełnie niemożliwe – odparł zdecydowanie Warren. – Jestem bardzo zajęty. Proponuję panu spotkanie w moim gabinecie.

Zaległa pełna niedowierzania cisza, a potem głos w słuchawce wykrztusił:

– Niech pan posłucha...

– Przykro mi, sir – przerwał mu Warren. – Proponuję, żeby przyszedł pan do mnie dziś o piątej. Powinienem być wtedy wolny.

Hellier podjął decyzję:

– Dobrze – odparł opryskliwie. Warren skrzywił się na odgłos rzuconej na widelki słuchawki. Odłożył delikatnie swój jednoczęściowy telefon i włączył interkom.

– Mary, o piątej przychodzi do mnie sir Robert Hellier. Może będzie trzeba poprzestawiać parę spotkań. Spodziewam się długiej wizyty, więc musi być ostatnim pacjentem.

– W porządku, panie doktorze.

– Aha, Mary. Gdy tylko przyjdzie Hellier, jesteś wolna.

– Dziękuję panu.

Warren zwolnił przycisk i w zamyśleniu patrzył w przestrzeń, ale po krótkiej chwili wrócił do swojej papierkowej roboty.

Sir Robert Hellier był dobrze zbudowanym mężczyzną, a nosił się tak, by robić wrażenie jeszcze potężniejszego. Subtelny garnitur z Savile Row nie łagodził ciężkości jego ruchów, zaś głos świadczył tym, że nie jest przyzwyczajony do znoszenia sprzeciwu. Zaledwie wszedł do pokoju Warrena, powiedział krótko i bez wstępów:

– Wie pan, dlaczego tu jestem.

– Tak. Przyszedł pan w sprawie córki. Może zechce pan usiąść?

Hellier zajął krzesło po drugiej stronie biurka.

– Przejdę do rzeczy. Moja córka nie żyje. Policja przekazała mi informację, w którą nie mogę uwierzyć. Mówią, że była narkomanką. Brała heroinę.

– To prawda.

– Heroinę, którą pan jej dostarczał.

– Heroinę, którą jej zapisywałem – poprawił Warren. Hellier był przez chwilę zbity z tropu.

– Nie oczekiwałem, że tak łatwo pan to potwierdzi.

– Dlaczego nie? – odparł Warren. – Leczyłem pańską córkę.

– Ależ z pana tupeciarz! – wybuchnął Hellier. Pochylił się do przodu, a jego potężne ramiona zgarbiły się pod marynarką. – To hańba, żeby lekarz przepisywał silne narkotyki młodej dziewczynie.

– Moim zdaniem...

– Wsadzę pana do więzienia! – ryknął Hellier.

– ...ona niezbędnie potrzebowała tych recept.

– Jest pan zwykłym handlarzem narkotyków!

Warren wstał, a jego lodowaty głos przerwał tyradę Helliera:

– Jeżeli powtórzy pan to zdanie poza tym gabinetem, oskarżę pana o zniesławienie. Skoro nie chce pan posłuchać, co mam do powiedzenia,

proszę stąd wyjść, bo dalsza rozmowa z panem nie ma sensu. A jeżeli nie podoba się panu moja etyka, może pan pójść na skargę do Komisji Dyscyplinarnej przy Izbie Lekarskiej.

Hellier ze zdumieniem podniósł wzrok.

– Chce pan przez to powiedzieć, że Izba Lekarska usprawiedliwiłaby takie postępowanie?

– Właśnie – odparł Warren z przekąsem i ponownie usiadł. – Brytyjski rząd także. Wydali w tej sprawie ustawę.

Hellier wydawał się zupełnie zbity z tropu.

– No dobrze – powiedział niepewnie. – Zapewne powinienem posłuchać, co ma pan mi do zakomunikowania. Po to tu przyszedłem.

Warren przypatrywał mu się badawczo.

– June zjawiała się u mnie jakieś osiemnaście miesięcy temu. Brała już wtedy heroinę prawie od dwóch lat.

Hellier znowu wybuchnął.

– To niemożliwe!

– Niby dlaczego?

– Wiedziałbym o tym.

– W jaki sposób?

– No cóż, rozpoznałbym... objawy.

– Rozumiem. A jakie są te objawy?

Hellier zaczął mówić, potem opanował się i zamilkł.

– Wie pan – odezwał się Warren – narkomana, który bierze heroinę, nie poznaje się po drżeniu rąk. Objawy są o wiele trudniejsze do uchwycenia, a narkomani umiejętnie je ukrywają. Mógł pan jednak coś zauważyć. Proszę mi powiedzieć, czy wyglądało wtedy na to, że córka ma kłopoty finansowe?

Hellier przypatrywał się swoim dłoniom.

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ich nie miała – odparł zagrożony w myślach. – Zaczynało mnie to już męczyć i w końcu ostro się sprzeciwiłem. Powiedziałem jej, że nie została wychowana na rozrzutną próżniaczkę. – Podniósł wzrok. – Znalazłem jej pracę, załatwiłem mieszkanie i zmniejszyłem o połowę kieszonkowe.

– Rozumiem – powiedział Warren. – Jak długo miała tę pracę?

Hellier pokręcił głową.

– Nie wiem. Wiem tylko, że ją straciła. – Zaciśnął dłonie na krawędzi biurka, aż zbieleły mu kostki palców. – Wie pan, ona mnie okradła. Okradła własnego ojca.

– Jak to się stało? – zapytał ostrożnie Warren.

– Mam wiejski dom w Berkshire – odparł Hellier. – Pojechała na wieś i splądrowała go – dosłownie splądrowała. Było tam, między innymi, sporo georgiańskich sreber. Miała czelność zostawić kartkę z informacją, że to zrobiła. Podała mi nawet nazwisko kupca, któremu sprzedała towar. Odzyskałem wszystko, ale kosztowało mnie to cholernie dużo pieniędzy.

– Podał ją pan do sądu?

– Niech pan nie będzie głupcem – odparł ostro Hellier. – Muszę dbać o reputację. Ładnie wypadłbym w gazetach, oskarżając o kradzież własną córkę. I tak mam już dość problemów z prasą.

– Może byłoby dla niej lepiej, gdyby ją pan zaskarżył – stwierdził Warren. – Nie zadał pan sobie pytania, dlaczego pana okradła?

Hellier westchnął.

– Myślałem, że zesłała zupełnie na złą drogę, że odziedziczyła to po matce. – Wprostował ramiona. – Ale to osobna historia.

– Oczywiście – odparł Warren. – Więc jak mówię, kiedy June zgłosiła się do mnie na leczenie, a właściwie po heroinę, była już prawie od dwóch lat narkomanką. Tak powiedziała i stan jej organizmu to potwierdzał.

– Co pan ma na myśli – zapytał Hellier – że zgłosiła się po heroinę, a nie na leczenie?

– Narkoman traktuje lekarza jako źródło zaopatrzenia – odparł Warren nieco znużonym głosem. – Narkomani nie chcą być leczeni. Boją się tego.

Hellier patrzył na Warrena tępym wzrokiem.

– Ależ to potworne. Dawał jej pan heroinę?

– Tak.

– I nie leczył jej pan?

– Nie od razu. Nie można leczyć pacjenta, który tego nie chce, a angielskie prawo nie pozwala na stosowanie przymusu.

– Ale przez pana uzależniła się jeszcze bardziej. Pan dostarczał jej heroinę.

– Wolałby pan, żebym tego nie robił? Miałem jej pozwolić wyjść na ulicę, żeby zdobywała heroinę z nielegalnego źródła, po czarnorynkowej cenie i zanieczyszczoną Bóg wie jakim świństwem? Narkotyki, które przepisywałem, były przynajmniej czyste i odpowiadały normom brytyjskiej farmakopei, co zmniejszało prawdopodobieństwo zapalenia wątroby.

Hellier jakby się skurczył.

– Nie rozumiem – wymamrotał, kręcąc głową. – Po prostu nie rozumiem.

– Istotnie – przyznał Warren. – Zastanawia się pan, co się stało z lekarzką etyką. Później o tym pomówimy. – Złączył dłonie czubkami palców. – Po miesiącu zdołałem przekonać June, że powinna się leczyć. Istnieją kliniki zajmujące się takimi przypadkami. Była w szpitalu przez dwadzie-

ścia siedem dni. – Mierzył Helliera surowym spojrzeniem. – Wątpię, czy na jej miejscu wytrzymałbym tydzień. June była dzielną dziewczyną, sir Robercie.

– Nie bardzo wiem, jak wygląda... hm... takie leczenie.

Warren otworzył szufladę biurka i wyjął pudełko papierosów. Wyciągnął jednego, a potem, najwyraźniej zreflektowawszy się, pchnął otwarte pudełko na drugą stronę biurka.

– Przepraszam, pali pan?

– Dziękuję – odparł Hellier i sięgnął po papierosa. Warren nachylił się i posłużył mu swoją zapalniczką, po czym sam z niej skorzystał.

Przyglądał się Hellierowi przez chwilę, a następnie podniósł do góry papierosa.

– Wie pan, to także narkotyki, ale nikotyna nie jest szczególnie silna. Powoduje psychiczne uzależnienie. Każdy, kto ma wystarczająco silną wolę, może rzucić palenie. – Pochylił się do przodu. – Heroina to co innego. Uzależnia w sposób fizjologiczny. Potrzebuje jej organizm i rozum ma tu niewiele do powiedzenia.

Ponownie odchylił się do tyłu.

– Kiedy pozbawi się narkomana heroiny, obserwowane u niego fizjologiczne objawy mają takie nasilenie, że szansę przeżycia są jak jeden do pięciu. Lekarz musi się nad tym dobrze zastanowić, zanim rozpocznie kurację.

Hellier pobladł.

– Czy ona cierpiała?

– Owszem – odparł chłodno Warren. – Bardzo chciałbym móc powiedzieć, że nie, ale byłoby to kłamstwo. Oni wszyscy cierpią. Cierpią tak bardzo, że może jednemu na stu udaje się przejść kurację. June wytrzymała ile potrafiła, a potem wyszła. Nie mogłem jej zatrzymać – prawo tego nie przewiduje.

Papieros w dłoni Helliera wyraźnie drżał. Warren stwierdził:

– Potem dość długo jej nie widziałem. Wróciła pół roku temu. Oni zwykle wracają. Chciała dostać heroinę, ale nie mogłem dać jej recepty. Zmieniło się prawo. Wszystkim narkomanom przepisuje się teraz narkotyki w specjalnych klinikach, które zorganizował rząd. Doradzałem jej leczenie, ale nie chciała o tym słyszeć, zabrałem ją więc do szpitala. Ponieważ znałem jej przypadek – i ponieważ obchodził mnie jej los – mogłem pełnić rolę konsultanta. Dostawała recepty na heroinę – najmniejsze możliwe dawki.

– A jednak zmarła z przedawkowania.

– Nie – zaproponował Warren. – Śmierć spowodowała dawka heroiny rozpuszczonej w roztworze metyloamfetaminy, a to już zbyt ostra mie-



szanka. Nie miała zapisanej amfetaminy – musiała zdobyć ją gdzie indziej.

Hellier cały się trząsał.

– Podchodzi pan do tego bardzo spokojnie, Warren – powiedział niepewnym głosem. – Jest pan cholernie opanowany. Na mój gust – aż do przesady.

– Muszę być opanowany – stwierdził Warren. – Lekarz, który zanadto się przejmuje, szkodzi sobie i swoim pacjentom.

– Cóż za piękna, pozbawiona emocji postawa profesjonalisty – szydził Hellier. – Ale to zabiło moją córkę. – Podsunął Warrenowi pod nos drżący palec. – Dobiorę się panu do skóry, Warren. Mam wpływy. Zniszczę pana.

Warren obdarzył Helliera niechętnym spojrzeniem.

– Nie mam zwyczaju w takich sytuacjach pogneźbiać zbolełych rodziców – powiedział dobitnie – ale sam pan się tego dopomina. Proszę mnie nie prowokować.

– Prowokować! – Uśmiech Helliera pozbawiony był wesołości. – Ja pana pogrzebię.

Warren wstał.

– W porządku. Proszę mi więc powiedzieć, czy ma pan zwyczaj kontaktować się z dziećmi przez osoby trzecie, zlecając sekretarce pisanie do nich listów?

– O co panu chodzi?

– Pół roku temu, tuż przed pańskim wyjazdem do Ameryki, June chciała się z panem zobaczyć. A pan, na Boga, zbył ją urzędowym listem, który napisała pańska sekretarka!

– Byłem wtedy bardzo zajęty. Miałem na głowie dużą transakcję.

– Potrzebowała pańskiej pomocy. Nie uzyskała jej, więc zjawiała się u mnie. Obiecał pan napisać z Ameryki. I co?

– Byłem zajęty – odparł Hellier cicho. – Miałem napięty program: mnóstwo podróży, konferencji...

– A więc pan nie napisał. Kiedy pan wrócił?

– Przed dwoma tygodniami.

– Po prawie sześciu miesiącach. Czy wiedział pan, gdzie przebywa pańska córka? Czy próbował pan się tego dowiedzieć? Wtedy jeszcze żyła, proszę pana.

– Wielki Boże, musiałem uporządkować tutaj różne sprawy. Kiedy mnie nie było, wszystko zaczęło się walić!

– Istotnie – przyznał Warren lodowatym tonem. – Mówi pan, że znalazł pan June pracę i załatwił jej mieszkanie. W tej wersji nawet ładnie to brzmi, ale ja powiedziałbym, że pan ją wyrzucił. Czy parę lat wcześniej próbował pan dociec, dlaczego się zmieniła? Dlaczego potrzebowała co-

raz więcej pieniędzy? Prawdę mówiąc, chciałbym wiedzieć, jak często widywał pan córkę. Czy kontrolował pan jej postępowanie? Czy sprawdzał pan, w jakim towarzystwie się obraca? Czy wywiązywał się pan z roli ojca?

Hellier był szary na twarzy.

– O Boże!

Warren usiadł i powiedział cicho:

– Teraz naprawdę sprawię panu ból, panie Hellier. Córka nie znosiła pańskiego żelaznego charakteru. Sama mi to powiedziała, choć nie miałem pojęcia, kim pan jest. Zachowała na pamiątkę ten cholernie protekcyjny w tonie list od pańskiej sekretarki, żeby podsycił jej nienawiść – i trafiła w końcu do nędznego pensjonatu w Notting Hill, mając w kieszeni trzy szylingi i cztery pensy. Gdyby pół roku temu zechciał pan poświęcić córce kwadrans swojego bezcennego czasu, nie byłaby teraz martwa.

Pochylił się nad biurkiem i powiedział chrapliwym głosem:

– Niech mi pan teraz powie, panie Hellier, kto odpowiada za śmierć pańskiej córki?

Twarz Helliera wyrażała głębokie przygnębienie. Warren oparłszy się z powrotem o krzesło, przyglądał mu się niemal ze współczuciem. Wstydział się, że w tak niegodny profesjonalisty sposób dał się ponieść emocjom. Widząc, że Hellier sięga po chusteczkę, wstał i podszedłszy do kredensu sięgnął po buteleczkę, z której wysypał dwie tabletki.

Potem wrócił do biurka i rzekł:

– Proszę je wziąć. To pomoże. – Hellier przyjął tabletki bez protestu, popijając je szklanką wody. Uspokoiwszy się, zaczął mówić cichym rwącym się głosem:

– Helen... to znaczy moja żona... matka June... moja była żona... wie pan, rozwiódłem się z nią. June miała wtedy piętnaście lat. Helen była złą kobietą, bardzo złą. Zadawała się z innymi mężczyznami... Miałem już tego dość. Robiła ze mnie głupca. June została ze mną, z własnej woli. Bóg świadkiem, że Helen nie chciała jej mieć przy sobie.

Z trudem zaczerpnął powietrza.

– Oczywiście, June chodziła wtedy jeszcze do szkoły. A ja miałem swoją pracę, moją firmę, która stawała się coraz większa i nawiązywała coraz więcej kontaktów. Nie ma pan pojęcia, jakie to może przybrać rozmiary i jak staje się skomplikowane. Rozumie pan, działalność na międzynarodową skalę. Dużo podróżowałem. – Zamyślił się nad przeszłością. – Nie zdawałem sobie sprawy...

– Wiem – wtrącił cicho Warren.

Hellier podniósł wzrok. – Wątpię, doktorze. – Zamrugał oczami, napotkawszy opanowane spojrzenie Warrena i ponownie spuścił głowę. –

A może się myłę. Pewnie miał już pan do czynienia z takimi cholernymi głupcami jak ja.

Warren odpowiedział stonowanym głosem, starając się okazać Hellierowi zrozumienie:

– Trudno znaleźć z młodymi wspólny język, nawet jeżeli trzyma się ich przy sobie. Mają jakby inny sposób myślenia, inne ideały.

Hellier westchnął.

– Ale mogłem przynajmniej spróbować. – Zacisnął mocno dłonie. – Ludzie z mojej sfery myślą na ogół, że zaniedbywanie obowiązków rodzinnych i przestępczość młodzieży to przywilej niższych klas. Wielki Boże!

– Dam panu na dzisiejszą noc jakiś środek nasenny – powiedział zdecydowanie Warren. Hellier pokręcił głową.

– Nie, doktorze, dziękuję. Muszę przełknąć tę gorzką pigułkę. – Podniósł na niego wzrok. – Czy pan wie, jak to się zaczęło? W jaki sposób ona...? Jak mogła...?

Warren wzruszył ramionami.

– Niewiele mi powiedziała. Miała dosyć bieżących problemów. Ale sądzę, że jej przypadek był typowy. Najpierw haszysz – dla zgrywy albo żeby się popisać, potem mocniejsze narkotyki, a w końcu heroina i jeszcze silniejsze odmiany amfetaminy. Zwykle wszystko się zaczyna od nieodpowiedniego towarzystwa.

Hellier pokiwał głową.

– Brak kontroli ze strony rodziców – powiedział z goryczą. – Skąd oni biorą to świństwo?

– W tym tkwi cały problem. Sporo kradzieży w magazynach dokonują przestępcy mający gotowy rynek zbytu. No i oczywiście istnieje przemysł. Tu, w Anglii, gdzie w klinikach przepisuje się heroinę w sposób kontrolowany narkomanom zarejestrowanym w MSW, nie jest tak źle jak w Stanach. Tam, ponieważ jest to całkowicie zabronione, istnieje rozbudowany czarny rynek, co oznacza potężne zyski i zorganizowany nielegalny handel. Ocenia się, że w samym Nowym Jorku jest około czterdziestu tysięcy narkomanów biorących heroinę, gdy w całym Zjednoczonym Królestwie jest ich około dwóch tysięcy. Ale i tak niedobrze się u nas dzieje, bowiem liczba podwaja się co szesnaście miesięcy. A policja nic nie może poradzić na nielegalny handel narkotykami – rzekł Hellier.

– Przypuszczam, że inspektor Stephens wszystko panu o mnie powiedział – odpari ironicznie Warren.

– Całkowicie się mylił – wymamrotał Hellier i poruszył się niespokojnie.

– W porządku, jestem do tego przyzwyczajony. Policja ma do tej sprawy mniej więcej taki sam stosunek jak całe społeczeństwo, ale prześladowanie narkomana, który już wpadł w nałóg, jest bez sensu. Daje to tylko większe zyski handlarzom, bo wygłodniały narkoman musi za wszelką cenę dostać swoją porcję prochów. Wzrasta w ten sposób przestępczość, gdyż jest mu wszystko jedno, skąd zdobędzie pieniądze na narkotyki. – Warren obserwował Helliera, który wyraźnie się uspokajał. Uznał, że ich akademicka dyskusja zadziałała w tym samym stopniu, co środek uspokajający, więc ciągnął dalej:

– Narkomani to ludzie chorzy i policja powinna zostawić ich w spokoju – stwierdził. – My się nimi zajmujemy. Policja powinna likwidować źródła nielegalnego handlu.

– Czy tego nie robi?

– To nie takie proste. Problem ma międzynarodowy charakter. Poza tym trudno jest zdobyć informacje. To nielegalne transakcje i dlatego ludzie nie chcą mówić. – Uśmiechnął się. – Narkomani nie lubią policji, więc policja niewiele z nich wyciąga. Z kolei ja, chociaż nie lubię narkomanów, bo to trudni pacjenci, z którymi większość lekarzy nie chce mieć do czynienia, rozumiem ich i dowiaduję się różnych rzeczy. Mam pewnie więcej informacji o tym, co się dzieje, niż oficjalne źródła policyjne.

– Czemu więc nie powie pan tego policji? – zapytał z naciskiem Hellier. Głos Warrena stał się nagle szorstki.

– Gdyby któryś z moich pacjentów dowiedział się, że nadużyłem jego zaufania i wygadałem się przed policją, straciłbym wszystko. Pacjenci, zwłaszcza gdy chodzi o narkomanów, muszą bezwzględnie ufać lekarzowi, inaczej nie zgłoszą się na leczenie. Jeżeli nie mają dość zaufania – przerzucają się na czarny rynek. Dostają zanieczyszczoną heroinę z doków, po wyśrubowanych cenach, albo aseptyczną od kogoś z moich kolegów, pozbawionego skrupułów i nie stosującego żadnej kuracji. W medycznym świecie mamy parę czarnych owiec. Inspektor Stephens chętnie o tym panu opowie.

Hellier siedział przygarbiony i w zamyśleniu wpatrywał się w biurko.

– Jaka więc jest odpowiedź? Nic pan nie może zrobić?

– Ja? – zdziwił się Warren. – A cóż ja mógłbym zrobić? Źródło dostaw leży poza Anglią, na Bliskim Wschodzie. Nie jestem awanturnikiem z powieści przygodowej, panie Hellier. Jestem lekarzem, który ma swoich pacjentów – i jakoś wiąże koniec z końcem. Nie mogę tak po prostu wyskoczyć do Iranu, żeby przeżyć szaleńczą przygodę.

– Być może miałby pan mniej pacjentów, gdyby był pan wystarczająco szalony – mruknął Hellier, podnosząc się z krzesła. – Przepraszam, dok-

torze Warren, że wchodząc tutaj zachowałem się niestosownie. Wyjaśnił mi pan wiele spraw, których nie rozumiałem. Wytknął mi pan moje błędy. Zapoznał mnie pan ze swoją etyką. Wskazał pan też, jak można by rozwiązać problem, ale nie chce pan do tego przyłożyć ręki. Jakie więc pan popełnia błędy, doktorze Warren i jak to się ma do pańskiej etyki?

Ruszył ciężkim krokiem do drzwi.

– Proszę mnie nie odprowadzać, doktorze. Sam trafię.

Kiedy za Hellierem zamknęły się drzwi, Warren, zaskoczony jego uwagą, nie mógł się pozbierać. Wrócił powoli do stojącego za biurkiem krzesła i usiadł. Zapalił papierosa i przez kilka minut trwał w głębokim zamyśleniu, po czym potrząsnął głową z rozdrażnieniem, jakby chciał odpędzić natrętą muchę.

To absurd! Kompletny absurd! – pomyślał.

Ale ziarno wątpliwości zostało zasiane i nie umiał pozbyć się tej myśli, chociaż bardzo się starał.

Tego wieczoru przeszedł się po Piccadilly i Soho, mijając restauracje, nocne lokale i kluby, ulubione miejsca większości jego pacjentów. Zobaczył kilku z nich. Machali do niego, a on odpowiadał automatycznie tym samym gestem i szedł dalej, prawie nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, aż dotarł na Wardour Street, w sąsiedztwo biur Regent Films Company.

Spojrzał na budynek i powiedział głośno:

– To absurd!

### 3

Sir Robert Hellier również miał ciężką noc. Wrócił do swego mieszkania w dzielnicy St. James, prawie wcale nie zdając sobie sprawy, jak tam dotarł. Szofer zauważył jego zaciśnięte wargi i spuszczone wzrok, zanim więc odstawił samochód, na wszelki wypadek zadzwonił z garażu do mieszkania.

– Stary jest w kiepskim nastroju, Harry – oznajmił Hutchinsowi, służącemu Helliera. – Lepiej trzymaj się od niego z daleka i miej się na baczności.

Kiedy więc Hellier wszedł do swego luksusowego mieszkania. Hutchins przygotował whisky i zniknął. Hellier, nie zauważając ani obecności whisky, ani nieobecności Hutchinsa, zagłębił się w fotelu i pogрузzył w myślach.

Dreńczyło go poczucie winy. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ktoś ośmielił się „podsunąć mu lustro”, w którym mógłby się „przejrzeć”. Wrażenie było piorunujące. Nienawidził samego siebie, a Warrena nienawi-

dział być może jeszcze bardziej za to, że wtykał nos w drażliwe dla niego sprawy. Ale w gruncie rzeczy był uczciwy i w pewnej chwili miał świadomość, że słowa, które wypowiedział przed wyjściem i pośpiesznym opuszczeniem gabinetu Warrena to efekt uzmysłowienia sobie, iż pragnie zmusić doktora, by naruszył swoje zasady moralne; chciał znaleźć jego słaby punkt i sprowadzić go do własnego, nędznego poziomu.

A June? Jakie miejsce zajmowała jego córka? Pomyślał, jaka była kiedyś: wesoła, pogodna i beztraska. Jego córka mogła mieć wszystko: najlepsze szkoły, modne stroje, przyjęcia, zagraniczne wakacje i pod każdym względem dostatnie życie.

Miała wszystko, tylko nie mnie – pomyślał z wyrzutem.

A potem, w którymś momencie jego wypełnionego pracą życia, niepostrzeżenie coś się zmieniło. June ogarnęła niezaspokojona żądza pieniędzy. Wyglądało na to, że nie chodzi o rzeczy, które można za nie kupić, lecz o pieniądze jako takie. Hellier doszedł do majątku o własnych siłach, przeszedł trudną szkołę życia i uważał, że młodzi powinni samodzielnie dorabiać się. Zaczęło się od spokojnych rozmów z June, ale stopniowo zamieniły się one w całą serię awantur, aż w końcu stracił panowanie nad sobą i wtedy się rozstali. Warren mówił prawdę: wyrzucił córkę z domu, nie próbując dociekać, dlaczego tak się zmieniła.

Kradzież sreber z domu utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że córka zesłała na złą drogę i martwił się głównie o to, by sprawa nie nabrała rozgłosu i by nie dowiedziała się o niczym prasa. Ze wstydem uświadomił sobie nagle, że odkąd ujrzał inspektora Stephensa najbardziej dręczyła go myśl, jak źle będą o nim pisać w związku ze śledztwem.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że utracił najpierw żonę, a potem córkę?

Pracował ciężko, Boże, jak ciężko! Wdarł się na sam szczyt w branży, gdzie najskuteczniej włada się sztyletem. Obracał milionami. Na przykład ta podróż do Ameryki: dobrał się do skóry tym cholernym, przebiegłym jankesom, ale za jaką cenę? Rezultatem tych sześciu miesięcy był wrzód, podwyższone ciśnienie, które wcale nie podobało się lekarzowi, oraz wypalane nerwowo trzy paczki papierosów dziennie... I martwa córka.

Rozejrzał się po swym apartamencie, popatrzył na świetlistego Renoira na przeciwległej ścianie i na błękitnego Picassa na końcu pokoju. Symbole sukcesu. Znienawidził je nagle. Przesiadł się na inne krzesło, żeby mieć je za plecami i móc patrzeć na panoramę Londynu, na elżbietańskie zwieńczenia pałacu St. James.

Po co tyle pracował? Początkowo robił to dla June, dla małej June i dzieci, które miały dopiero się urodzić. Ale Helen nie chciała mieć dzieci i June została jedynaczką. Czy to właśnie wtedy praca stała się dla niego nałogiem, a może raczej środkiem uspokajającym? Wciągnął go bez reszty

dziwny świat wytwórni filmowych, w którym nie wiadomo, co jest ważniejsze: pieniądze czy sztuka. A dla żony nie było już miejsca w jego sercu.

Może dlatego, że ją zaniedbywał, Helen zmuszona była szukać innych mężczyzn, najpierw potajemnie, potem już otwarcie. Zmęczyła go w końcu ta dwuznaczna sytuacja i doprowadził do rozwodu.

Ale jakie, na Boga, miejsce zajmowała w tym wszystkim Helen? Miał pracę, którą należało wykonać. Musiał podejmować decyzje – nikt by tego nie zrobił za niego. A każda cholerna decyzja pociągała za sobą następne, wypełniając mu czas i życie, aż nie było już miejsca na nic poza pracą. Rozprostował dłonie i przyjrzał się im.

Jestem tylko maszyną. Mam umysł, który służy do podejmowania właściwych decyzji i ręce do podpisywania stosownych czeków – pomyślał z niechęcią.

I gdzieś po drodze stracił June, swoją córkę. Ogarnął go nagle potworny wstyd na myśl o liście, o którym mówił Warren. Przypomniawszy sobie, jak do tego doszło. To był fatalny tydzień. Przygotowywał się do podróży do Ameryki i wszystko szło źle, miał więc masę roboty. Pamiętał, jak panna Waiden, jego sekretarka, zastąpiła mu drogę na korytarzu w biurze.

– Sir Robercie, mam dla pana list od panny Hellier. Chciałaby spotkać się z panem w piątek.

Przystanął nieco zaskoczony, pocierając rozpaczliwie podbródek. Chciał załatwić swoje sprawy, ale zarazem chciał zobaczyć się z June.

– Niech to diabli. Na piątek rano jestem umówiony z Matchetem, a to oznacza także wspólny obiad. Co z popołudniem, panno Waiden?

Nie należała do tych sekretarek, które muszą zaglądać do terminarza. Właśnie dlatego ją zatrudnił.

– Pański samolot odlatuje o wpół do czwartej. Będzie pan musiał wcześniej skończyć obiad.

– Hm... Poproszę panią o coś, panno Waiden. Niech pani napisze do mojej córki i wyjaśni sytuację. Proszę ją powiadomić, że odezwę się ze Stanów, gdy tylko będę mógł.

I wszedł do gabinetu, a potem do następnego i następnego, aż skończył się dzień – osiemnastogodzinny dzień pracy. Dwa dni później był piątek, narada z Matchetem i kosztowny obiad, konieczny, aby go udobruchać. Potem szybka jazda samochodem na Heathrow – i w mgnieniu oka znalazł się w Nowym Jorku, gdzie oczekiwali go Hewling i Morrin ze swoimi zdradliwymi ofertami i propozycjami.

Potem trzeba było lecieć nagle do Los Angeles i pobić hollywoodzkich magnatów na ich własnej ziemi. Gdy wrócił do Nowego Jorku, Morrin namówił go na wycieczkę do Miami i na wyspy Bahama. Była to niewybred-

na próba przekupienia go pozorami gościnności. Ale pokonał ich wszystkich i przeżywał szczyt swej kariery, przywożąc do Anglii owoce zwycięstwa. Na miejscu zastał jednak jeden wielki bałagan, ponieważ nikt nie był wystarczająco silny, żeby kontrolować Matcheta. Przez cały ten czas ani razu nie pomyślał o swojej córce.

Zapadający mrok ukrywał szarość jego twarzy, gdy zastanawiał się nad tą odpychającą prawdą. Próbował szukać usprawiedliwienia, ale go nie znalazł. Wiedział, że było coś jeszcze gorszego. Wiedział, że nigdy nie dał June okazji, by mogła się z nim zwyczajnie, po ludzku, porozumieć. Była w jego życiu czymś drugoplanowym. Właśnie czymś, a nie kimś. Świadomość tego najbardziej go dręczyła. Hellier wstał i przechadzał się niespokojnie po pokoju, myśląc o tym wszystkim, co mówił Warren. Lekarz najwyraźniej traktował narkomanię jako coś zwyczajnego, normalne zjawisko, z którym trzeba sobie jakoś radzić. I choć nie powiedział tego wprost, można było wywnioskować, że jego zadaniem było likwidowanie skutków zaniedbań takich ludzi jak Hellier. Ale z pewnością winę ponosił kto inny. Czy nie ci, którzy czerpią z tego zyski? Handlarze narkotyków? Hellier przystanął, czując jak ogarnia go gniew, gniew, którego po raz pierwszy nie kierował przeciw sobie samemu. Zgrzeszył zaniedbaniem, i nie można było tego bagatelizować. Ale ci, którzy grzeszyli uczynkiem, świadomie dostarczając narkotyki młodym ludziom, aby osiągnąć zysk, popełniali rzecz potworną. On sam okazał się po prostu nierozważny, natomiast handlarze narkotyków byli uosobieniem zła. Jego gniew narastał i w końcu miał wrażenie, że go rozsadzi, ale wtedy świadomie się opanował, aby móc logicznie myśleć. Podobnie jak nie dopuścił, by emocje wzięły w nim górę, gdy prowadził negocjacje z Matchetem, Hewlingiem i Morrinem, i tym razem starał się, by jego niebagatelny intelekt nie napotkał przeszkód w rozwiązywaniu nowego problemu. Hellier, jak wydajna maszyna, zaczynał powoli sprawnie funkcjonować.

Najpierw pomyślał o Warrenie, który jako znawca tematu był niewątpliwie kluczową postacią. Hellier zwykł uważnie obserwować ludzi, z którymi miał do czynienia, ponieważ drobne szczególnie zachowania ujawniały ich słabe i mocne strony. Starał się przypomnieć sobie dokładnie, co i w jaki sposób mówił Warren. Skoncentrował się na tych dwóch kwestiach. Był pewien, że Warren wie coś ważnego. Musiał jednak mieć pewność, że wybrany klucz nie złamię mu się w ręce. Podniósł zdecydowanie słuchawkę telefonu i wykręcił numer. W chwilę potem mówił:

– Tak, wiem, że jest późno. Czy mamy jeszcze adres tej firmy detektywistycznej? Pomogli nam w sprawie Lowreya... Dobrze! Chcę, żeby sprawdzili doktora Nicholasa Warrena. Proszę powtórzyć. Trzeba to zrobić dyskretnie. Wszystko, co można zdobyć na jego temat, do cholery! Jak najszybciej... raport w ciągu trzech dni... Och, do diabła z kosztami! Zapiszcie to na mój prywatny rachunek.



Sięgnął machinalnie po karafkę z whisky.

– I jeszcze jedno. Niech dział informacji zdobędzie, co się da, na temat przemytu narkotyków. Chodzi w ogóle o nielegalny handel narkotykami. Ten raport też ma być gotowy za trzy dni... Tak, nie żartuję. Z tego może być niezły film. – Przerwał na moment. – I ostatnia sprawa: niech ludzie z działu informacji nie zbliżają się do doktora Warrena... Tak, wiem, że to prawdopodobne, ale muszą trzymać się od niego z daleka, zrozumiano? To dobrze!

Odłożył słuchawkę telefonu i z pewnym zdziwieniem spojrzął na karafkę. Postawił ją ostrożnie, po czym wszedł do sypialni. Po raz pierwszy od lat zrezygnował ze zwyczaju starannego wieszania swoich rzeczy, pozostawiając je rozrzucone na podłodze.

Gdy tylko znalazł się w łóżku, opuściło go napięcie i poczuł fizyczne odprężenie. Dopiero wtedy jego organizm poddał się rozpacy i przyszło zalamanie. Ciałem tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny wstrząsnął szloch i poduszka zrobiła się mokra od łez.

## 4

Warren był i zarazem nie był zaskoczony, że Hellier ponownie się odezwał. Zastanawiał się usilnie, o co mu może chodzić i miał właściwie ochotę nie zgodzić się na spotkanie. Wiedział z doświadczenia, że gdy krewni ofiar rozpamiętują zbyt długo śmierć swych bliskich, na dłuższą metę nikomu nie przynosi to pożytku. Efekt jest taki, że ich poczucie winy zamienia się w pogodzenie z losem, on zaś jako człowiek wyznający określone zasady moralne uważał, iż winowajcom należy się kara, a najsurowiej karzemy siebie sami.

Ale gdzieś w zakamarkach świadomości czaiła się nadal niepokojąca wątpliwość, którą zaszczerpiły w nim słowa wypowiedziane na pożegnanie przez Helliera. Tak więc, trochę ku własnemu zaskoczeniu, przyjął zaproszenie do mieszkania w dzielnicy St. James. Tym razem, o dziwo, nie miał nic przeciwko temu, by spotkać się z Hellierem na jego terenie. Bitwę i tak już wygrał.

Hellier przywitał go konwencjonalnym „Cieszę się, że pan przyszedł, doktorze” i poprowadziwszy do dużego, luksusowego pokoju o przyjemnym wystroju, wskazał uprzejmie fotel.

– Czego panu nalać? – zapytał. – A może pan nie pije?

Warren uśmiechnął się.

– Nie jestem pozbawiony zwykłych wad. Poproszę szkocką.

Po chwili popijał tak dobrą whisky, że było niemal zbrodnią rozcieńczać ją wodą, i trzymał w ręku papierosa z monogramem Helliera.

– My, ludzie filmu, jesteśmy malowniczą gromadą – powiedział z przekąsem Hellier. – Skłonność do autoreklamy to jedna z naszych największych wad.

Warren spojrzął na splecione złote litery RH, wytłoczone na papierosie ręcznej roboty. Podejrzywał, że nie był to zwykły styl Helliera, że z wyrachowaniem dostosowywał się on do konformistycznych wymogów swojej branży. Czekał w milczeniu, aż gospodarz zagał rozmowę w sensowniejszy sposób.

– Przede wszystkim muszę przeprosić za tę scenę w pańskim gabinecie – powiedział Hellier.

– Już pan to zrobił – odparł z powagą Warren. – A zresztą nie ma pan powodu przeproszać.

Hellier usadowił się w fotelu naprzeciwko Warrena i postawił szklanke na niskim stoliku.

– Słyszę, że cieszy się pan, w swoim środowisku znakomitą opinią.

Warren uniósł brew.

– Doprawdy?

– Zbierałem informacje na temat handlu narkotykami. Wydaje mi się, że zdobyłem tego sporo.

– W ciągu trzech dni? – zapytał Warren z ironią w głosie.

– W przemyśle filmowym, ze względu na jego charakter, musimy posiadać ogromny zasób wiedzy na różne tematy. Mój dział informacji jest niemal równie dobry jak, powiedzmy, biuro prasowe. Jeżeli do jakiejś sprawy przydzielę się wystarczająco dużą grupę ludzi, można w trzy dni wiele zdziałać.

Warren pozostawił to bez komentarza i tylko skinął głową.

– Moi informatorzy stwierdzili, że co trzecia spośród indagowanych osób radziła im zwrócić się do pana jako czołowego specjalisty.

– Ale nie zrobili tego – stwierdził lakonicznie Warren.

Hellier uśmiechnął się.

– Nie, bo im zabroniłem. Sam pan powiedział, że jest bardzo zajęty. Nie chciałem panu przeszkadzać.

– Pewnie powinienem podziękować – odparł Warren z udaną powagą.

Hellier wyprostował plecy.

– Doktorze Warren, skończmy te potyczki. Wyłożę wszystkie karty na stół. Poprosiłem również, aby zebrano informacje na pana temat.

Warren popijał whisky, spokojnie przyglądając się Hellierowi znad szklanki.

– Za dużo pan sobie pozwala – zauważył oględnie. – Powinienem chyba zapytać, czego się pan dowiedział.

Hellier uniósł dłoń.

– Samych dobrych rzeczy, doktorze. Cieszy się pan godną pozazdroszczenia opinią jako człowiek i jako lekarz, a prócz tego jest pan wybitnym specjalistą w dziedzinie narkomanii.

– Chciałbym kiedyś przeczytać swoje dossier – stwierdził drwiąco Warren. – Przypominałoby to lekturę własnego nekrologu. Niewielu z nas ma taką szansę. – Odstawił szklanke. – A czemu mają służyć te... te wysiłki z pańskiej strony?

– Chciałem uzyskać pewność, że jest pan odpowiednim człowiekiem – odparł poważnie Hellier.

– Mówi pan zagadkami – zniecierpliwił się Warren. – Chce pan mi zaproponować pracę? – zapytał rozbawiony. – Może mam być doradcą przy kręceniu filmu?

– Może – odparł Hellier. – Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie. Rozwiódł się pan z żoną. Dlaczego?

Warren był oburzony, zdziwiony i zaszokowany. Oburzył go charakter pytania. Zdziwiło to, że układny Hellier je zadał, a zaszokował fakt, iż zasięgał o nim aż tak szczegółowych informacji.

– To moja sprawa – odpowiedział chłodno.

– Niewątpliwie. – Hellier przyglądał się Warrenowi przez moment. – Powiem panu, dlaczego żona się z panem rozwiodła. Nie podobały się jej pańskie kontakty z narkomanami.

Warren oparł dłonie o poręcz fotela, zamierzając wstać, ale Hellier powiedział stanowczo:

– Siadaj, człowieku. Wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

– Niech to będzie coś sensownego – odparł Warren, uspokajając się. – Takie rozmowy działają mi na nerwy.

Hellier zgasił papierosa i zapalił następnego.

– Ten fakt mówi mi więcej o panu niż o pańskiej żonie, która mnie nie obchodzi. Dowodzi mianowicie, że sprawy zawodowe są dla pana ważniejsze niż życie osobiste. Wie pan, że uważają pana za fanatyka w dziedzinie narkotyków?

– Już mi na to zwracano uwagę – rzekł chłodno Warren. Hellier pokiwał głową.

– Jak sam pan wspominał – a potwierdza to mój pobieżny raport – narkomani nie należą do najłatwiejszych pacjentów. Są zarozumiali, agresywni, zakłamanii, złośliwi, przebiegli – pasują do nich wszelkie pejoratywne określenia. A jednak pan mimo wszystko uporczywie stara się im

pomóc. Nawet za cenę rozstania z żoną. Na mój gust świadczy to o wielkim zaangażowaniu.

– Też coś! – zachnął się Warren. – Taki już jest charakter tej pracy. Wszystkie ujemne cechy, które pan wymienił, stanowią objawy typowego zespołu uzależnienia. Narkomani zachowują się w ten sposób z powodu nałogu i nie można pozostawić ich własnemu losowi tylko dlatego, że nie podoba nam się ich sposób bycia. – Pokręcił głową. – Proszę przejść do rzeczy. Nie zjawilem się tu, żeby być podziwianym – zwłaszcza przez pana.

Hellier zrobił się czerwony na twarzy.

– W pewnym sensie powiedziałem już, o co chodzi – stwierdził. – Ale przejdę do sedna sprawy. Kiedy byłem w pańskim gabinecie, powiedział pan, że cała rzecz w tym, by powstrzymać nielegalny dopływ narkotyków. Powiedział pan też, że to problem międzynarodowy. I stwierdził pan natychmiast, że nie jest przygotowany, by wyskoczyć do Iranu i przeżyć tam szaleńczą przygodę. – Wymierzył w niego wyprostowany palec. – Myślę, że pan coś wie, doktorze Warren, i to coś bardzo konkretnego.

– Mój Boże! – odrzekł Warren. – Wyciąga pan pochopne wnioski.

– Jestem do tego przyzwyczajony – odparł spokojnie Hellier. – Mam spore doświadczenie – i na ogół się nie mylę. Za to mi płacą i to sporo. A więc dlaczego Iran? Heroinę wyrabia się z opium, a opium pochodzi z wielu miejsc. Może pochodzić z Dalekiego Wschodu, z Chin albo Birmy, ale pan stwierdził, że problem nielegalnych dostaw ma swoje źródło na Bliskim Wschodzie. Dlaczego Bliski Wschód? I dlaczego akurat Iran? To opium mogłoby pochodzić z któregośkolwiek z kilku krajów od Afganistanu po Grecję, a pan bez namysłu wymienia Iran. – Odstawił szklanke, która delikatnie brzęknęła. – Pan wie coś konkretnego, doktorze Warren.

Warren poruszył się w fotelu.

– Skąd to nagłe zainteresowanie?

– Ponieważ postanowiłem coś z tym zrobić – odparł Hellier. Zaśmiał się krótko, widząc wyraz twarzy Warrena. – Nie, nie oszalałem ani nie mam manii wielkości. Sam pan mi podsunął tę myśl. Po jakiego diabła leczyć tych cholernych idiotów, skoro mogą wyjść na ulicę i za najbliższym rogiem dostać następną porcję narkotyku? Gdyby przerwać nielegalne dostawy, miałby pan o wiele łatwiejszą pracę.

– Na Boga! – wybuchnął Warren. – Pracują nad tym setki policjantów na całym świecie. Niby dlaczego pan miałby być od nich lepszy?

Hellier wycelował w niego palec.

– Ponieważ posiada pan informacje, których nie chce pan przekazać policji ze znanych sobie powodów – jestem pewien, że najzupełniej etycznych.

– A które przekażę panu, czy o to chodzi?  
– No, nie – odparł Hellier. – Może je pan zatrzymać dla siebie, jeśli pan chce. – Raz jeszcze wymierzył palec w kierunku Warrena. – Widzi pan, to pan załatwi tę sprawę.

– Teraz już wiem, że pan oszalał – stwierdził z niesmakiem Warren. – Panie Hellier, myślę, że jest pan wytracony z równowagi. Chce pan odbyć jakąś dziwną ekspiację i próbuje mnie pan do tego wciągnąć. – Skrzywił się. – To przypomina zamykanie drzwi do stajni, kiedy koń już z niej uciekł. Nie chcę brać w tym udziału.

Hellier, nie przejmując się jego słowami, zapalił kolejnego papierosa, na co Warren powiedział nagle:

– Za dużo pan pali.

– Jest pan już drugim lekarzem, który mi to mówi w ciągu ostatnich dwóch tygodni – Hellier machnęła ręką. – Widzi pan, nawet teraz nie przestaje pan wykonywać swego zawodu. Kiedy poprzednio się widzieliśmy, powiedział pan coś jeszcze: „Jestem lekarzem, który jakoś wiąże koniec z końcem”. – Roześmiał się. – To fakt, znam co do grosza stan pańskiego konta. Przypuśćmy jednak, że dysponowałby pan praktycznie nieograniczonymi funduszami, a do tego informacjami, które moim zdaniem pan posiada, bo nawiasem mówiąc wcale pan temu nie przeczy. Co wtedy?

Warren odezwał się bez namysłu:

– Jeden człowiek sobie z tym nie poradzi.

– Kto powiedział, że chodzi o jednego człowieka? Niech pan dobierze sobie ludzi – nalegał Hellier. Warren wpatrywał się w niego.

– Zdaje się, że mówi pan poważnie – stwierdził ze zdziwieniem.

– W mojej branży wymyśla się dla ludzi bajki – powiedział poważnie Hellier – ale na własny użytek tego nie robię. Mówię jak najbardziej poważnie.

Warren wiedział, że się nie omylił. Śmierć córki naprawdę wytraciła Helliera z równowagi. Zawsze dążył w życiu do jednego celu, a teraz zбочył z kursu i skoncentrował się całkowicie na nowym zadaniu. I trudno byłoby go powstrzymać.

– Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, o jaką chodzi stawkę – powiedział.

– Nie obchodzi mnie to – odparł obojętnie Hellier. – Chcę załatwić tych drani. Chcę krwi!

– Czyjej krwi? Mojej? – zapytał cynicznie Warren. – Wybrał pan nieodpowiedniego człowieka. Zresztą chyba nikt odpowiedni nie istnieje. Potrzebny panu ktoś pośredni między świętym Jerzym a Jamesem Bondem. Jestem lekarzem, a nie pogromcą gangsterów.

– Ma pan potrzebną wiedzę i kwalifikacje – powiedział z naciskiem Hellier. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę może Warrena utracić, dodał

więc spokojnie: – Niech pan nie podejmuje pochopnej decyzji, doktorze. Proszę to przemyśleć. – Jego głos nabrał ostrego tonu. – I proszę nie zapominać o etyce. – Spojrzał na zegarek. – A teraz może coś przekąsimy?